

## "Mała Moskwa" - duża sprawa

---

Czasem i odgrzewany kotlet smakuje. Film "Mała Moskwa" obejrzałem dopiero teraz, ale dobrze, że w ogóle go zobaczyłem.

Nie wiem dlaczego dopiero teraz trafił do mnie (głośny przecież swego czasu) film Waldemara Krzystka pt. „Mała Moskwa”. Może dlatego, że autor filmu ma ponoć pretendować do Oscara za swój najnowszy obraz pt. „80 milionów”, a może – zwyczajnie – dlatego, że rzadko chodzę do kina i bazuję głównie na tym, co „dobrzy ludzie przyniosą”, czyli na „trafiejnych” DVD lub DivX-ach. Jak widać, do tej pory „Małej Moskwy” mi nie przynieśli, niemniej obejrawszy w końcu ten utwór filmowy śpieszę donieść co na ekranie telewizyjnym wypatrzyłem.

„Mała Moskwa” to wzruszająca historia zakazanej miłości Polaka i Rosjanki w czasach, w których w armii nawet o intymnych sprawach decydowali służbowi przełożeni. Akcja filmu rozgrywa się w latach 60. w Legnicy, w mieście, w którym stacjonowała duża jednostka wojsk ZSRR. Polacy i Rosjanie żyli tam oddzieleni od siebie murami i zakazami, ale mimo strachu kochali, cierpieli i mieli swoje marzenia.

Jest rok 1967. Jura, młody radziecki pilot i niedoszły kosmonauta, trafia do Legnicy, zwanej "Małą Moskwą". Towarzyszy mu piękna młoda żona Wiera. Zafascynowana polską poezją i muzyką, wygrywa piosenkarski "konkurs przyjaźni", wykonując porywająco i w części po polsku "Grande Valse Brillante" Ewy Demarczyk. Wtedy właśnie poznaje polskiego oficera i muzyka – Michała. Długo broni się przed obudzonym wówczas uczuciem, a jednak nieoczekiwana miłość powoli rozwija się. Prawdziwy dramat rodzi się gdy zakazana miłość wydaje owoce ...

Film nagrodzony w 2008 r. na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni zyskał bardzo zróżnicowane recenzje krytyków. Liczne pretensje dotyczyły głównie harlequinowskiego charakteru i jakości fabuły. Przyznaję więc, że naciskając klawisz „play” byłem nieco uprzedzony do „Małej Moskwy”, obejrawszy jednak obraz byłem dość mile zaskoczony, bo choć fabuła rzeczywiście pachnie harlequinem, to jednak nie jest to tandeta, a na tle standardowej polskiej produkcji filmowej, przeznaczonej dla tzw. szerokiej publiczności, wyróżnia się nawet pozytywnie. Co prawda, oglądając film zżymałem się wielokrotnie na Waldemara Krzystka, zarówno za oczywiste słabości scenariusza jak i sposób opowiadania treści, niemniej przy napisach końcowych, idących na tle brawurowo wykonanego przez Swietlanę Hodczenko „Grande Valse Brillant”, moje pretensje do scenarzysty i reżysera były już nieco mniejsze.

Zacznijmy może jednak od owych pretensji. To, co rzuca się w oczy niemal natychmiast, to niezbyt udana próba połączenia romansu z filmem sensacyjnym, który imitują „sceny grozy” w wykonaniu radzieckiego żołdactwa, ustylizowanego na marines oraz Military Police – dwa w jednym. W rezultacie otrzymujemy melodramat polityczno – sensacyjno – religijny, bo i ten ostatni wątek wyekspozowany jest w filmie nadmiernie i chyba niezbyt realistycznie. Żeby jednak było bardziej skomplikowanie – dwie najlepsze role w filmie to właśnie role dwóch rosyjskich oficerów – enkawudzisty i politruka, na które w romansowym „natłoku” mało kto zwraca uwagę, ale – przyjrawszy się bliżej – nie sposób ich nie dostrzec i nie docenić.

Niestety, na tle rewelacyjnie odtworzonych dwóch wymienionych wyżej postaci, trochę bardziej blado wypadają główni bohaterowie – przede wszystkim dość bezbarwny Lesław Żurek. Swietłana Hodczenko broni się trochę lepiej, a to za sprawą podwójnej roli – matki i córki. Niemniej, gdyby nie kilka scen, a przede wszystkim scena występu piosenkarskiego oraz scena opowiadania o grze w kolory, również i jej rola nie rzucałaby na kolana. A tak w ogóle, to pod względem kreacji aktorskich film Krzystka jest bardziej filmem rosyjskim niż polskim, gdyż polscy aktorzy – można powiedzieć – jedynie „statystują” rosyjskim.

Zgodnie z opinią inżyniera Mamonia z „Rejsu” o polskim filmie jest i w filmie Krzystka trochę scen, w których „nic się nie dzieje” albo dzieje się niemrawo i to bez wyraźnej potrzeby. Innym znów razem akcja gwałtownie przyspiesza i sceny rozgrywają się jak w przysłowiowym kalejdoskopie. To zmienne, w niezbyt uzasadniony sposób, tempo burzy tok narracji podporządkowując ją jakby wymogom emocjonalności. Również wyłącznie temu służą sceny, które albo są mało wiarygodne albo wręcz budzą sprzeciw, jak choćby scena aresztowania głównej bohaterki w celu „uciszenia jej”, zawierająca czytelną sugestię jakoby Wiera nie popełniła samobójstwa, a została zamordowana przez KGB. Wydaje mi się, że nawet jak na film o tragicznym romansie jest to o jeden krok za daleko. Nie mniej irytująca, bo nieprawdziwa, jest scena zbiorowego szlochów Rosjan po śmierci pierwszego kosmonauty – Jurija Gagarina, przeniesiona żywcem z zupełnie innej epoki (po śmierci Stalina) do innej rzeczywistości i pasująca

do niej jak wół do karety.

Jak przystało na stylizowaną na Hollywood produkcję, film kończy scena rozrywająca serce i wyciskająca łzy, w której dochodzi do spotkania głównych bohaterów nad grobem najgłówniejszej postaci, reprezentowanej zarówno w postaci porcelanowej fotografii jak i wiernej kopii bohaterki - córki jej i jej kochanka. A tragicznych kochanków „błogosławi” zdradzony mąż, poczciwy kapitan lotnictwa, który nie został kosmonautą tylko dlatego, że okazał się bezpłodny. Strasznie to banalne, ale jakże ludzkie i wzruszające.

Co prawda autor filmu informuje lojalnie w czołówce, że wszelkie podobieństwa postaci i sytuacji do rzeczywistości są tylko podobieństwami, niemniej - zasugerowani dziesiątkami artykułów i reportaży prasowych z Legnicy - widzowie doszukują się w bohaterach filmowych ich rzeczywistych pierwowzorów, a przedstawione w filmie sytuacje biorą za prawdę historyczną. Nie jest to, niestety, fortunna okoliczność, gdyż pogłębia i tak wypaczony obecnie obraz ówczesnych stosunków polsko - radzieckich, zamiast go rozjaśniać i objaśniać zgodnie z rzeczywistością.

**Pomimo powyższych uwag krytycznych film robi niezłe wrażenia jako „całość”, a widzowie mogą opuszczać kino dość usatysfakcjonowani. Na wrażenie to składają się zarówno atrakcyjny w sumie i emocjonujący scenariusz jak i sprawna realizacja. Również fakt, że film jest „geograficznie rozpoznawalny”, tzn. można bez trudu stwierdzić, iż powstał on we wschodniej Europie, a nie w Kaliforni, należy do jego zalet. Podkreślam to, gdyż w oskarowym „Pianiście” Polańskiego, owa „geograficzna rozpoznawalność” należy - moim zdaniem - do nielicznych, ale wad filmu. „Mała Moskwa”, jakkolwiek naśladowe styl hollywoodzki, tą wadą jednak nie grzeszy.**

---

Autor: burlasino

Artykuł pobrano ze strony [eioba.pl](http://eioba.pl)